

WYODRĘBNIENIE SIĘ, STAN AKTUALNY I PERSPEKTYWY ŚWIATA TRANSLACJI ORAZ TRANSLATORYKI

Franciszek Grucza

Prof. dr hab. Franciszek Grucza, lingwista, glottodydaktyk, translatoryk, długoletni dyrektor Instytutu Lingwistyki Stosowanej UW, jest członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk, obecnie dyrektorem placówki PAN w Wiedniu. Prof. Grucza jest autorem licznych publikacji z dziedziny lingwistyki stosowanej, glottodydaktyki i translatoryki.

1. Translacja to najogólniej rzecz biorąc pewien specyficzny rodzaj kognitywno-komunikacyjnych operacji wykonywanych w celu zastąpienia wyrażenia lub tekstu wytworzonego przez jedną osobę niezrozumiałego dla innej osoby przez wyrażenie lub tekst zrozumiały i zarazem "oddający" możliwie adekwatnie wszystkie jego wartości (nie tylko tzw. treści). Translacja należy do zakresu kreatywnych operacji mentalnych. W żadnym razie nie wolno jej utożsamiać z jakimś mechanicznym "transkodowaniem". Języki ludzkie nie są kodami, a międzyludzkie porozumiewanie się implikuje o wiele bardziej skomplikowane operacje niż zwykłe kodowanie i dekodowanie.

Niesłusznie mówi się przeważnie i pisze o translacji tak, jakby jej pojęcie należało z góry ograniczyć do (pisemnego) przekładu i/lub (ustnego) tłumaczenia interlingwalnego, czyli tak jakby w obrębie translacji interlingwalnej wykonywane były jakieś zupełnie specyficzne operacje substytucyjne. W gruncie rzeczy nie ma żadnej poważnej różnicy między operacjami wykonywanymi w trakcie translacji inter- i intralingwalnej. Translacyjny charakter mają w zasadzie wszystkie operacje metajęzykowe. W dodatku z operacjami translacyjnymi mamy do czynienia nie tylko w trakcie tłumaczenia wyrażen lub przekładania tekstów językowych *sensu stricto*, lecz także w toku przekładania i/lub tłumaczenia różnego rodzaju wyrażen para- i ekstrajęzykowych, czyli również w obrębie translacji intra- i interkulturowej. Dlatego inicjalne pojęcie translacji trzeba poszerzyć tak, by objęło ono możliwie wszystkie działania kognitywno-komunikacyjne, implikujące scharakteryzowane wyżej operacje substytucyjne. Poszerzenie inicjalnego pojęcia translacji jest też konieczne z historycznego punktu widzenia. Nie ulega bowiem wątpliwości, że translacja interlingwalna jest po prostu pewną pochodną translacji intralingwalnej, że się z tej ostatniej wywodzi. Zarazem równie niewątpliwe jest też, że przekształcenie się translacji intralingwalnej w translację interlingwalną nie dokonało się w rezultacie jakiegoś jednorazowego aktu, lecz w wyniku pewnego (stosunkowo długiego) procesu.

Potrzeba translacji pojawiła się, jak wiadomo, w konsekwencji tak wyrażeniowego, jak i znaczeniowego różnicowania się języków (i kultur) ludzkich. Jako pierwsza pojawiła się przy tym niewątpliwie potrzeba translacji interidiolektalnej czy interpersonalnej. W następnej kolejności, ale o wiele później, pojawiła się potrzeba translacji, którą z dzisiejszego punktu widzenia moglibyśmy określić jako pewnego rodzaju translację socjo- i/lub etnolektalną. Natomiast potrzeba translacji interlingwalnej *sensu stricto*, czyli potrzeba translacji z jednego nacjelektu na inny, pojawiła się dopiero na końcu procesu językowego różnicowania i usamodzielniania się poszczególnych wspólnot ludzkich. Specyficznego charakteru translacja ta zaczęła bowiem nabierać dopiero w momencie uruchomienia procesu "nadawania" niektórym etnolektom statusu normatywnie skodyfikowanych języków oficjalnych (państwowych), a następnie narodowych (czyli nacjelektów).

Ponieważ przekształcanie się różnych etnolektów w odpowiednie nacjelekty w wielu przypadkach nie jest jeszcze zakończone, więc często nie sposób jednoznacznie odpowiedzieć

na pytanie, czy w danym konkretnym przypadku mamy do czynienia już z translacją interlingwalną czy raczej jeszcze z translacją intralingwalną. Przed takim problemem stajemy na przykład, gdy mamy do czynienia z tłumaczeniem lub przekładem z jednego dialektu na inny, z jakiegoś dialektu na funkcjonujący niejako ponad nim nacjelekt, a także w przypadku tłumaczenia z etnolektu (lub na etnolekt) nie posiadający statusu nacjelektu.

Na tym miejscu możemy jednak nie brać pod uwagę tego rodzaju problemów taksonomicznych, wynikających z dość skomplikowanego typologicznego dzielenia języków ludzkich na dialekty, etnolekty oraz nacjelekty. Ponieważ pod względem operacyjnym nie ma żadnej istotnej różnicy między przekładaniem czy tłumaczeniem z jednego języka narodowego (nacjelektu) na inny, a przekładaniem czy tłumaczeniem z jednego dia- lub etnolektu subnacionalnego na inny dia- lub etnolekt, możemy "operacyjnie" wszystkie potraktować jako pewne przypadki translacji interlingwalnej.

W konsekwencji tego uproszczenia możemy powiedzieć, że potrzeba translacji interlingwalnej pojawiła się w efekcie coraz dalej idącego dzielenia się i zarazem językowo-kulturowego różnicowania ludzkich wspólnot. Gdy już doszło do tego, że członkowie jednej wspólnoty przestali rozumieć wyrażenia osób należących do innej wspólnoty, z którymi chcieli (musieli) się porozumieć, tłumaczenie interlingwalne stało się koniecznością. Ponieważ doszło do tego bardzo dawno temu, możemy powiedzieć, iż ludzie spełniają akty (operacje) interlingwalnej translacji od dawien dawna, choć nie od tak dawna, jak akty translacji intralingwalnej.

2. Od dawien dawna mamy też do czynienia z tłumaczami interlingwalnymi, jednakże do ich praktycznego wyodrębnienia doszło o wiele później aniżeli do pojawienia się potrzeby spełniania aktów translacji interlingwalnej. W najlepszym razie możemy uznać, iż w momencie pojawienia się potrzeby spełniania tego rodzaju aktów zaczął się proces stopniowego "wyróżniania się" (w obrębie świata pracy praktycznej) osób rzeczywiście zasługujących na nazwę "tłumacz" dlatego, że spełniały już funkcje czy operacje translacyjne w sensie pewnej czynności "podstawowej" i zarazem w jakiejś mierze "wyćwiczonej" czyli dlatego, że były już osobami w pewnym stopniu wyspecjalizowanymi w ich wykonywaniu. Nie ulega wątpliwości, że do wyodrębnienia tłumaczy w tym sensie doszło dopiero z biegiem czasu, albowiem pojawiające się "interlingwalne problemy komunikacyjne" rozwiązywano na początku po prostu drogą "prób i błędów", opartych jedynie na doświadczeniu zgromadzonym w ramach tłumaczenia intrajęzykowego. Osoby spełniające w ten sposób akty translacji interlingwalnej trudno nazwać interlingwalnymi tłumaczami także dlatego, że nie zdawały sobie jeszcze sprawy ze specyfiki realizowanych przez nie operacji translacyjnych.

Zupełnie inaczej sprawa ta przedstawia się natomiast na płaszczyźnie "teorii tłumacza". Otóż na pewnym poziomie abstrakcji zakres denotacyjny określenia "tłumacz" trzeba poszerzyć tak, by w analogii do tego rodzaju wyrażen co "mówca" czy "słuchacz" można było "obdarować" nim każdego człowieka, spełniającego jakąkolwiek funkcję translacyjną czy jakikolwiek akt tłumaczeniowy, niezależnie od tego na jakiej podstawie to robi, jak szeroka czy solidna jest ta podstawa itd., a więc nawet wtedy, gdy dysponuje wyłącznie pewną naturalną umiejętnością translacyjną, czyli umiejętnością wynikającą ze zwykłej (nawet parcjalej) znajomości (przynajmniej) dwu dowolnych lektów. Dopiero na tle tego rodzaju holistycznego ujęcia "tłumacza" można pokusić się o przedstawienie w miarę systematycznej taksonomii kolektywnie rozumianego podmiotu wszelkich aktów translacyjnych. Nieodzowność tak szeroko zakreślonego "teoretycznego" pojęcia tłumacza bierze się stąd, że każde kategoryjne wyróżnienie jakkolwiek wyspecjalizowanych tłumaczy implikuje konieczność jednoczesnego wyróżnienia przeciwstawnej kategorii tłumaczy, tzn. tłumaczy niewyspecjalizowanych, czyli ostatecznie także tłumaczy całkiem naturalnych, spełniających akty translacyjne wyłącznie na podstawie umiejętności będącej konsekwencją

ich (wspomnianej już) znajomości dwu (dowolnych) języków (lektów). Z kolei z faktu, że każdy kto zna (choćby tylko częściowo) dwa języki, jest w stanie spełnić jakieś akty translacyjne, jednakże czynić tego nie musi, wynika konieczność przynajmniej teoretycznego odróżnienia tłumaczy faktycznych od tłumaczy potencjalnych.

Co się tyczy tłumaczy wyspecjalizowanych, to można ich a poniekąd nawet trzeba, podzielić z jednej strony na mniej lub bardziej wyspecjalizowanych, z drugiej natomiast na wyspecjalizowanych (wyćwiczonych) jedynie praktycznie tzn. takich, którzy udoskonalili swą naturalną umiejętność translacyjną jedynie poprzez własne doświadczenie oraz na tłumaczy specjalnie wykształconych, a więc takich, którzy mieli okazję nie tylko systematycznie rozwijać swą naturalną umiejętność translacyjną lecz ponadto zapoznać się systematycznie zarówno z doświadczeniem innych tłumaczy, jak i z relewantną wiedzą teoretyczną. Tych ostatnich można dalej podzielić na takich, którzy poza odpowiednim wykształceniem zdążyli już zdobyć własne doświadczenia praktyczne oraz takich, którzy jeszcze ich nie mają.

Dla uzupełnienia przedstawionego podziału świata tłumaczy dodajmy, iż na "doświadczonych" i "niedoświadczonych" można podzielić zarówno "tłumaczy wykształconych", jak i "tłumaczy naturalnych". Zauważmy też, że każdy tłumacz (niezależnie od tego, do jakiej kategorii należy) może spełniać akty translacyjne czy funkcję translacyjną przypadkowo lub systematycznie, okresowo lub permanentnie, rzadziej lub częściej, amatorsko lub zawodowo itd., i że także z tego punktu widzenia konieczne jest podzielenie świata tłumaczy na różne kategorie i subkategorie. I wreszcie zauważmy też, że świat tłumaczy można i trzeba podzielić stosownie do typologii kolektywnie rozumianego przedmiotu translacji (wyrażeń, wypowiedzi, tekstów itd.), a także w zależności od sytuacji, w której dokonuje się translacji, a więc również w zależności od urządzeń, którymi się posługuje lub które obsługuje.

3. Z całą pewnością możemy powiedzieć, że pierwotnie ludzie spełniali akty translacji czy występowali w roli tłumaczy od przypadku do przypadku, a więc doraźnie czy okazjonalnie, i że robili to jak już wspomniałem, wyłącznie na podstawie swej naturalnej umiejętności translacyjnej. Inaczej mówiąc: pierwotnie ludzie spełniali akty tłumaczenia "na równi z innymi działaniami", a nie w sensie jakiegoś zajęcia specyficznego. Zresztą w ten sam sposób wielu ludzi spełnia akty translacyjne też dziś.

Do praktycznego wyróżnienia "tłumaczy" w sensie osób specjalizujących się w spełnianiu aktów translacyjnych doszło, jak już wspomniałem, stosunkowo późno, w każdym razie o wiele później niż do wyodrębnienia na przykład "wojowników". Ponadto trzeba wziąć pod uwagę także to, że w obrębie niektórych wspólnot ludzie specjalizujący się w zakresie tłumaczenia wprawdzie zaczęli być potrzebni również bardzo dawno temu, jednakże zapotrzebowanie na wyspecjalizowanych tłumaczy było aż po czasy najnowsze niewielkie, nawet w obrębie społeczeństw najwyżej rozwiniętych. Jeszcze sto lat temu bardzo mało ludzi zajmowało się tłumaczeniem zawodowo.

"Masowego" charakteru zawód tłumacza zaczął nabierać dopiero w najnowszych czasach. Ale za to w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci proces ten nabrał zgoła lawinowego tempa. Dziś ludzie trudniący się tłumaczeniem stanowią już w obrębie niektórych społeczeństw całkiem pokaźnie i już dość dobrze wyodrębnione środowiska specjalistyczne. Ich wielkość zdaje się przy tym zależeć nie tylko od wielkości danego społeczeństwa, lecz także od osiągniętego przez nie poziomu cywilizacyjnego - im poziom ten jest wyższy, tym większa jest liczba osób zajmujących się w obrębie danego społeczeństwa tłumaczeniem. Mówiąc krótko: zarówno profesjonalizacja pracy tłumacza, jak i permanentne zwiększanie się zbioru ludzi trudniących się nią jest pewnym skutkiem czy efektem cywilizacyjnego rozwoju poszczególnych społeczeństw i świata w ogóle. Oznacza to jednocześnie, że między innymi

można też według tych parametrów oceniać osiągnięty przez dane społeczeństwo poziom rozwoju cywilizacyjnego.

Jako pewne skutki i zarazem parametry rozwoju cywilizacyjnego ocenić można też zmiany dokonujące się w zakresie wartościowania różnych rodzajów pracy praktycznej - inne uchodziły kiedyś za "ważniejsze" niż dziś, innym przypisuje się obecnie większą wagę niż ta, którą wiązano z nimi dawniej. To samo dotyczy zmiany punktów odniesień, ze względu na które poszczególne rodzaje pracy, a także wykonujące je podmioty, uznaje się za ważne. Kiedyś waga tłumacza zależała głównie od wagi osoby, u której boku występował, i której służył. Tłumacz był niezwykle ważny, jeśli zajmował miejsce na przykład u boku faraona, zaświadcza to jeden ze słynnych reliefów egipskich. Później waga tłumacza zaczęła zależeć w coraz większym stopniu od wagi tego, co tłumaczył. Stawał się bardzo ważny, jeśli (prze)tłumaczył na przykład *Pismo Święte*, aż po nasze czasy był, a poniekąd jest nadal, bardzo ważny, jeśli zajmował się lub zajmuje tłumaczeniem "ważnej" poezji czy "ważnych" tekstów literackich w ogóle. Obecnie waga tłumacza zdaje się natomiast coraz bardziej zależeć od rodzaju "mediów", dla których pracuje, i/lub którymi się posługuje, choć nie ulega wątpliwości, że w jakiejś mierze zależy ona także dziś zarówno od wagi osoby czy instytucji, dla której tłumacz pracuje, jak i od wagi tego, co tłumaczy.

Wymienione współczynniki decydowały jednak i decydują w gruncie rzeczy tylko o wadze poszczególnego tłumacza, a nie o wadze tłumacza w rozumieniu kategorialnym. Ranga zawodu tłumacza, czyli ranga świata tłumaczy pojętego kolektywnie, zależy przede wszystkim od wielkości ogólnego popytu na usługi translacyjne. Dziś decyduje o niej w pierwszej kolejności gwałtownie rosnące zapotrzebowanie na te usługi w takich dziedzinach, jak szeroko rozumiana polityka, gospodarka czy technika. Zarazem rangę zawodu determinuje też to, że od stopnia i szybkości, a także od jakości zaspokojenia tego właśnie popytu zależy - i to niekiedy w sposób całkiem zasadniczy - dalszy rozwój w obrębie wspomnianych dziedzin. Jednocześnie proces ten powoduje, że maleje "relatywna doniosłość społeczna" przekładu literackiego.

Nie jest jednak prawdą, że zapotrzebowanie na przekład literacki maleje też w wymiarze absolutnym; w tym sensie rośnie ono również - zwłaszcza u nas wzrosło ono w ciągu ostatnich lat bardzo. Rzecz tylko w tym, że potrzeby w zakresie tłumaczenia i przekładu tekstów specjalistycznych (fachowych) rosną niewspółmiernie szybciej.

4. Coraz dalej postępujący podział świata pracy zarówno praktycznej, jak i poznawczej, w tym także - a może nawet przede wszystkim - naukowej, nie dokonuje się przypadkowo, lecz jest po prostu pewną nieuniknioną konsekwencją cywilizacyjnego rozwoju świata w ogóle. To właśnie ten rozwój zrodził i permanentnie dynamizuje potrzebę coraz głębszego i zarazem subtelniejszego specjalizowania się, a w konsekwencji także potrzebę coraz gruntowniejszego przygotowywania kandydatów pragnących lub mających wykonywać któryś z wyodrębnionych z wyodrębnionych zakresów czy rodzajów pracy. Konsekwencją tego rozwoju jest też konieczność społecznej instytucjonalizacji procesu przygotowywania potrzebnych specjalistów, a następnie konieczność coraz dalej idącego upowszechnienia tegoż procesu. Z niego wzięła się też potrzeba licencjonowania kandydatów do różnych rodzajów pracy (zawodów), a w konsekwencji także potrzeba ustalenia norm czy programów, jakie kandydaci muszą spełnić czy zrealizować, jeśli chcą podjąć pracę w "licencjonowanym" zawodzie, a zwłaszcza jeśli chcą zawód ten samodzielnie reprezentować. Z tego samego źródła pochodzi też potrzeba ustalania i sankcjonowania stopni, a niekiedy także wynagrodzeń, jakie można uzyskać, wykonując podjętą pracę solidnie.

Dokonywanie się niektórych z tych procesów można prześledzić na podstawie historii rozwoju organizacji miast - najpierw starożytnych, a następnie także średniowiecznych. Zauważyć warto przy tym, że pewnym owocem rozwoju cywilizacyjnego były nie tylko plany

sytuujące miasta i konstytuujące (organizujące) ich życie, w tym przede wszystkim podział pracy w obrębie poszczególnych wspólnot (miejskich) jako pewnych względnie automatycznych całości; pewnym owocem rozwoju cywilizacyjnego były bowiem także samorządowe programy wszystkich przewidzianych w ogólnym planie składników (współczynników) tych wspólnot - zarówno stanowych jak i zawodowych, opisywanych za pomocą takich wyrażeń jak "cechy" czy "gildie" lub "uczniowie", "czeladnicy" i "mistrzowie", albo takich jak "obywatele", "radni", "senatorzy" czy "burmistrzowie" lub po prostu "królowie".

Ogólnie rzecz biorąc wypada osiągnięty przez dane społeczeństwo poziom rozwoju cywilizacyjnego (a w konsekwencji także kulturowego) ocenić jako wyższy lub niższy w zależności między innymi od tego, jak subtelnie podzielona i dokładnie zorganizowana jest w jego obrębie praca, jak dobrze urządzone (zinstytucjonalizowane) jest w jego ramach zarówno przygotowywanie, jak i ewaluowanie (kształcenie) specjalistów dla poszczególnych rodzajów pracy. W każdym razie nie sposób uznać, że dana wspólnota osiągnęła wysoki poziom rozwoju cywilizacyjnego, jeśli w jej obrębie wszyscy robią wszystko, każdy jej członek jest uznawany za specjalistę w każdym zakresie i każdy jest dopuszczany do wykonywania każdego rodzaju pracy - obojętnie, czy chodzi o pracę nauczyciela, lekarza, aptekarza, inżyniera czy polityka. Jest akurat odwrotnie: im większa część członków jakiejś wspólnoty względnie autonomicznej potrafi wykonać i rzeczywiście wykonuje różne (gdzie indziej już wyspecjalizowane) rodzaje pracy bez specjalnego przygotowania, tym niższy jest osiągnięty przez daną wspólnotę poziom rozwoju cywilizacyjnego. Jest on dodatkowo tym niższy, im (relatywnie) więcej (skądinąd różnych) prac wykonują w obrębie danej wspólnoty te same osoby.

Inna natomiast sprawa, że poszczególne efekty rozwoju cywilizacyjnego można różnie oceniać, że niejednen z nich niesie w sobie spory potencjał negatywny. Jeszcze inną sprawę stanowi fakt, że nawet niektóre pozytywne wytwory cywilizacji z czasem degenerują się, że czasem zaczynają nawet oddziaływać kontraproduktywnie. Prawdą jest na przykład, iż każda instytucjonalizacja życia społecznego niesie ze sobą spore niebezpieczeństwo jego (biurokratycznej) petryfikacji, że zamiast przyczyniać się do dalszego rozwoju cywilizacyjnego, w pewnym momencie zaczyna rozwój ten hamować czy utrudniać.

Z tego rodzaju faktów wyprowadza się niekiedy wniosek, iż każda instytucjonalizacja życia społecznego, każda kategoryzacja ludzkiej pracy, a w szczególności jakiejkolwiek jej licencjonowanie jest złem samym w sobie, że jedynie słuszny jest absolutnie wolny rynek pracy i usług i że tego należy jak najszybciej znieść wszelkie krępujące go regulacje czy licencje. Podejmowane próby "zrealizowania" tego wniosku jednakże nigdzie nie powiodły się, nigdzie nie przyniosły oczekiwanych efektów pozytywnych, natomiast wszędzie doprowadziły do sporych zaburzeń lub nawet "zapóźnień". Okazuje się po prostu, że dalszy postęp czy rozwój cywilizacyjny może zostać zablokowany zarówno poprzez zbyt daleko idącą instytucjonalizację i zarazem regulację świata pracy, jak i przez działania odwrotne - tzn. przez zbyt daleko idącą deregulację tegoż świata.

Dalszy postęp cywilizacyjny może się dokonać wyłącznie poprzez dalsze doskonalenie świata pracy - jego dotychczasowej dyferencji i kategoryzacji - wewnętrznej organizacji, instytucjonalizacji, dydaktyzacji itd. Zupełnie absurdalny jest pogląd, że w tym celu należy świat ten całkowicie uwolnić od porządkujących go reguł gry. Jest on absurdalny, ponieważ każda deregulacja świata pracy prowadzi w istocie do jego prymitywizacji, albowiem cofa go do jakiegoś stanu mniej uporządkowanego.

Z tych właśnie powodów trzeba moim zdaniem uznać za błędny pogląd, który od kilku lat propagują i usiłują zrealizować w naszym kraju niektóre odpowiedzialne za tę sprawę instytucje i część zainteresowanego środowiska akademickiego, pogląd, w myśl którego należy dążyć do jak najdalej idącego uogólnienia kształcenia wyższego, w szczególności

uniwersyteckiego, albowiem zawodowa dyferencjacja świata pracy praktycznej zmienia się dziś tak szybko, iż uczelnie nie są w stanie za nią nadążyć. Ponieważ przynajmniej w niektórych przypadkach dochodzi w jego efekcie do pewnego rodzaju wstecznego uogólnienia uniwersyteckiego kształcenia, trzeba pogląd ten uznać za szkodliwy.

Zupełnie absurdalnie brzmi głoszona w tym związku teza, że owo ponowne uogólnienie wyższego kształcenia pozwoli uniwersytetom wyjść naprzeciw współczesnym potrzebom świata (ryнку) pracy praktycznej. Być nawet może, że mamy tu do czynienia z tezą manipulacyjną. Trudno bowiem nie dostrzec, że w istocie żadne "uogólnianie" kształcenia nie wychodzi naprzeciw żadnym realnym problemom świata pracy praktycznej, natomiast niewątpliwie umożliwia ich dydaktyczne ominięcie. Że chodzi raczej o to drugie, jest tym prawdopodobniejsze, iż w ten sposób argumentują najchętniej specjaliści nie rozumiejący potrzeb świata pracy praktycznej lub wyczuwający, że nie zdołają im dydaktycznie sprostać. By móc dalej robić to i tylko to, czego się kiedyś nauczyli, chętnie pozbywają się odpowiedzialności za kształcenie specjalistyczne i przekazują ją pracodawcom.

W efekcie tego rodzaju koncepcji edukacyjnych pogłębia się coraz bardziej specjalistyczna jałowość kształcenia akademickiego; zarazem wydłuża się (niekiedy zgola radykalnie) łączny czas zużywany na przygotowanie kandydatów do podjęcia pracy w wielu coraz bardziej wyspecjalizowanych zakresach. A to daje z kolei asumpt do kolejnego nasilenia głosów o praktycznej bezużyteczności kształcenia akademickiego z punktu widzenia interesów podatnika, czyli szeroko rozumianego świata pracy praktycznej.

Wiadomo, że zwłaszcza uniwersytety reagują na potrzeby świata pracy praktycznej z reguły ze sporym opóźnieniem i dużym oporem. Ciekawe, że w uniwersytetach nierzadko podejmowane są próby przeciwstawienia się nawet tym praktycznym potrzebom, które wywołane zostały w świecie praktyki głównie za ich przyczyną. I dzieje się tak nie tylko w naszych uniwersytetach. Rząd Wielkiej Brytanii doszedł swego czasu do wniosku, że łatwiej (i bodaj za mniejszą cenę) można przybliżyć uniwersyteckie kształcenie do potrzeb świata pracy praktycznej poprzez założenie nowych uniwersytetów niż poprzez odpowiednie zreferowanie już istniejących, zwłaszcza tych wielowiekowych.

W dużej mierze dzieje się tak niewątpliwie dlatego, że właśnie w uniwersytetach wciąż jeszcze utrzymuje się (głównie w postaci pewnego rodzaju "akademickiej podświadomości") przekonanie, jakoby były one zobowiązane służyć głównie (jeśli nie wyłącznie) potrzebom świata poznawczego (kognitywnego), natomiast nie miały tego rodzaju obowiązku względem świata pracy praktycznej - temu mogą służyć, ale nie muszą.

Jednakże główna przyczyna tego, że uniwersytety reagują na potrzeby świata praktycznego z reguły opornie i zwykle ze sporym opóźnieniem, tkwi nie tyle we wspomnianym przekonaniu, ile w tym, że stanowiło ono podstawę, na której zostały one pierwotnie ukonstytuowane, czyli inaczej mówiąc, dzieje się tak dlatego przede wszystkim, że uniwersytety zostały "urządzone" jako instytucje, które mogą ale nie muszą reagować na potrzeby lub życzenia swoich klientów, które "statutowo" mają prawo rozsądzać, co jest dla ich odbiorców dobre, a co złe, które mogą automatycznie układać swoje programy kształcenia, które mogą, ale nie muszą rozliczyć się wobec świata zewnętrznego, które nie podlegają żadnej rzeczywistości kontroli publicznej, choć dziś nie utrzymują się przecież z własnych środków. Ale nie tu miejsce na dokładniejszą analizę tego zagadnienia. Niemniej dodać wypada przynajmniej to, że podejmowane od lat reformy uniwersytetów - raz w kierunku zwiększenia ich autonomii, raz w stronę jej ograniczenia (ale nigdy konsekwentnie) - przynoszą rezultaty czasem zupełnie paradoksalne, gdy chodzi o to co mogą, a czego nie mogą robić samodzielnie. U nas uniwersytety nie mogą np. ustalać kierunków studiów, podobnie jak instytuty nie mogą samodzielnie ustalać programów. U nas obowiązuje "ustawowa" wciąż jeszcze zasada, w myśl której prawo do podejmowania decyzji ma zawsze mniej kompetentna Rada.

5. W świetle tego, co powiedzieliśmy o wzajemnych zależnościach między cywilizacyjnym rozwojem dowolnej wspólnoty z jednej strony, a procesem specjalizacyjnej dyferencji wykonywanej w jej obrębie pracy z drugiej, nie sposób uznać za "wysoko rozwinięte" społeczeństwa, w którym nadal uchodzi za tłumacza i/lub jest tłumacz angażowany każdy na tej tylko podstawie, że prócz własnego zna - w jakimś stopniu - określony język obcy. Nie sposób tego uczynić, ponieważ jest to albo wspólnota, do której nie dotarła jeszcze wiedza o specjalistycznym charakterze współczesnego świata translacji i w której wobec tego nie zaistniała jeszcze odpowiednia świadomość translatoryczna, albo wspólnota, w której brak jeszcze możliwości praktycznego zaspokajania potrzeb (aspiracji) wynikających z tej świadomości. W skrócie oznacza to po prostu tyle, że z punktu widzenia rozwoju cywilizacyjnego trzeba wyżej ocenić taką wspólnotę, w której doszło już do jakiegoś specjalistycznego wyodrębnienia świata translacji niż taką, w której proces ten się jeszcze nie dokonał.

Z kolei ocenę stanu już jakoś wyodrębnionego świata translacji trzeba dziś uzależnić do tego przede wszystkim, jak dalece świat ten zdążył się już z jednej strony instytucjonalnie ukonstytuować, a z drugiej - podzielić na różne specjalistyczne sektory. Najniższy poziom rozwoju reprezentuje taki świat translacji, w którym każdy tłumacz podejmuje się tłumaczenia każdego rodzaju tekstów i/lub wypowiedzi, w każdej sytuacji itd. Jest to świat, którego członkowie albo nie zdążyli jeszcze przyswoić sobie odpowiedniej świadomości translatorskiej, albo - co jeszcze gorsze - lekceważą podstawowe zasady etosu tłumacza.

W tzw. wysoko rozwiniętych krajach nie ma już jednego jednolitego zawodu tłumacza, lecz istnieją różne jego odmiany specjalistyczne, odmiany odpowiadające mniej więcej wymienionym wyżej kategoriom tłumaczy. Tłumaczy dzieli się w tych krajach na różne "specjalizacje" w zależności od tego na przykład, czy zajmują się tłumaczeniem tekstów pisemnych czy wypowiedzi ustnych, tłumaczeniem symultanicznym czy konsekutywnym, tłumaczeniem tekstów literackich czy specjalistycznych itd.

Tłumacze specjalizują się dziś z konieczności: nikt już bowiem nie jest w stanie równie dobrze wykonać wszystkich rodzajów tłumaczenia jednocześnie, tzn. na przykład dziś przekładać teksty literackie "na miarę współczesnych wymogów", jutro płynnie tłumaczyć symultanicznie dyskusję dotyczącą problemów (ro)zbrojeniowych, a pojutrze równie dobrze tłumaczyć teksty czy wypowiedzi specjalistyczne z zakresu elektroniki. Można to robić tylko równie źle, równie prymitywnie.

Nikt nie jest w stanie wykonywać wszystkich rodzajów translacji w sposób równie zadowalający, bo nikt nie ma ani potrzebnych do tego zdolności, ani potrzebnego czasu na ich odpowiednie wyćwiczenie, a tym bardziej - na permanentne podtrzymywanie ich mobilności. Ale przede wszystkim nikt nie jest dziś w stanie opanować wszystkich „języków specjalistycznych” (technolektów), a cóż dopiero mówić o opanowaniu ich w równie wysokim stopniu. Naprawdę (wy)specjalizować można się dziś tylko w zakresie niektórych z nich. Poniekąd rozwój świata translacji podąża śladami rozwojowymi świata medycyny.

Wynikające z tych stwierdzeń konsekwencje coraz częściej uwzględnia się dziś już także w programach kształcenia tłumaczy. W najbardziej renomowanych szkołach i instytucjach tłumaczy wydaje się dziś dyplomy i/lub licencje upoważniające ich posiadaczy do uprawiania tylko niektórych, wyraźnie określonych, rodzajów tłumaczenia. Natomiast osób nie posiadających żadnego dyplomu zaświadczonego, iż zdobyły profesjonalne wykształcenie translatorskie, a więc na przykład osób legitymujących się jedynie dyplomem ukończenia studiów filologicznych, niektóre instytucje Unii Europejskiej w ogóle nie zatrudniają już jako tłumaczy. To także skutek i zarazem pewne znamię cywilizacyjnego rozwoju naszego świata.

Co się tyczy naszego kraju, to do wyodrębnienia się specjalistycznego świata translacji doszło stosunkowo wcześniej. Już dość wcześniej doszło u nas też do pewnego instytucjonalnego „uzewnętrznienia się” tego świata. Jednakże oficjalnie jego pojęcie ograniczano na początku niemal wyłącznie do świata translacji literackiej (artystycznej). W każdym razie jego pierwszą i przez wiele lat jedyną reprezentacją instytucjonalną była Sekcja Tłumaczy utworzona w ramach Związku Literatów Polskich.

Pierwsze samodzielne Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich powstało w 1981 roku. Dopiero to Stowarzyszenie zaczęło zrzeszać cały nasz świat tłumaczy. W 1990 roku ukonstytuowało się dodatkowo Polskie Towarzystwo Tłumaczy Ekonomicznych, Prawniczych i Sądowych TEPIS. Zatem z tego punktu widzenia nasz świat translacji przedstawia się dobrze, a nawet bardzo dobrze. Wraz ze zniesieniem w 1989 roku centralnie ustalonej nomenklatury zawodów, poprawiła się również „sytuacja etatowa” tłumaczy. Na tej płaszczyźnie w okresie PRL-u oficjalnie uznawano (często tylko dorywczo pracujących) tłumaczy przysięgłych. Natomiast do 1975 r. nie udało się doprowadzić do wpisania zawodu tłumacza na państwową listę uznawanych w naszym kraju zawodów praktycznych, choć przez wiele lat bardzo o to zabiegałem.

Brak tego wpisu uniemożliwiał zatrudnienie kogokolwiek jako tłumacza w normalnym zakładzie pracy. Etatowi tłumacze istnieli wówczas bodaj tylko w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Gdzie indziej można było tłumacza zatrudnić w najlepszym razie w jakiś zakamuflowany sposób, to znaczy na etacie przewidzianym dla innego specjalisty. I tak też zwykle robiono. Ale to powodowało z kolei, że ówczesne Ministerstwo Pracy kilka razy wystąpiło z wnioskiem o jak najszybsze zaprzestanie kształcenia tłumaczy, albowiem według jego (Ministerstwa Pracy) rozeznania nie istniało na nich w ówczesnej Polsce żadne zapotrzebowanie. Paradoks polegał na tym, że owo rozeznanie opierało się na fakcie, że absolwenci Instytutu Lingwistyki Stosowanej UW - jedynej wówczas instytucji zajmującej się kształceniem tłumaczy - nie podejmowali pracy w wyuczonym zawodzie, tzn. na etatach dla tłumaczy. Rozeznaniem tym Ministerstwo to niejako zamykało stworzone przez siebie diabelskie koło, absolwenci ILS-u nie mogli się zatrudniać na etatach dla tłumaczy, ponieważ z woli Ministerstwa Pracy nie wolno ich było tworzyć, niemniej winą za to, że nie zatrudniano ich na etatach z ich zawodem Ministerstwo nie obciążało siebie, lecz właśnie tłumaczy.

Dziś kwestia państwowego podziału świata pracy na takie lub inne kategorie etatów nie ma już tak zasadniczego znaczenia. Zakłady pracy coraz częściej mogą dziś same ustalać etaty na miarę swych rzeczywistych potrzeb. Jednocześnie coraz rzadziej robi się problem z tego, że ci lub inni absolwenci podejmują pracę niezgodną z ich wykształceniem. Zatem nie musimy już zabiegać o to, by Ministerstwo Pracy zechciało oficjalnie uznać tłumacza przez wpisanie go na odpowiednią listę nomenklaturową (o ile taka jeszcze istnieje). Dziś możliwość zatrudnienia tłumacza przeważnie nie zależy już od żadnego urzędu państwowego.

Natomiast nadal istnieje u nas pewna centralna instytucja wyposażona w prawo do wyłącznego decydowania o tym, czy jakiś praktyczny zawód akademicki, tzn. zawód wymagający odpowiedniego wyższego wykształcenia, uzyska możliwość samodzielnego zaistnienia w oficjalnej nomenklaturze edukacyjnej, czy raczej ją straci. To bowiem Rada Główna Szkolnictwa Wyższego decyduje o tym, jakie kierunki studiów można w polskich uczelniach ukonstytuować i realizować, a jakich nie, jakie tytuły zawodowe można nadać absolwentom tych uczelni, a jakich nie można itd. Uczelnie (nawet te największe), a tym bardziej wydziały czy instytuty, same nie mogą u nas podejmować żadnych decyzji w tych sprawach. Tylko Rada Główna ma prawo dzielić nasz świat edukacji na takie lub inne sektory (kierunki). Choć pod żadnym względem nie jest ciałem eksperckim ma prawo jako rada podejmować swoje decyzje według własnego rozeznania. Nie musi się nikogo radzić, i też tego często nie czyni. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że sporządzona przez nią lista

dopuszczalnych u nas kierunków studiów jest - mówiąc delikatnie - bardzo odległa od świata realnych zawodów akademickich, że niektóre odcinki tej listy rzeczywisty stan tego świata po prostu ignorują. Oto nie ma na niej ani „tłumacza”, ani nawet „nauczyciela języków obcych”. Natomiast Rada Główna reanimowała „filologa”, którego już prawie nikt nie chce zatrudnić, który już mało komu jest potrzebny. W Polsce pożegnaliśmy się z nim bodaj najwcześniej, bo już na początku lat 70-tych. Natomiast jego odgórna reanimacja spowodowała, że obecnie eksperci zachodni, którzy u siebie uporali się z „filologiem” później niż my, otrzymali podstawę do tego, by nas pouczać, iż ani nauczyciel jakiegokolwiek języka obcego, ani tłumacz, zwłaszcza zajmujący się tzw. językami specjalistycznymi, nie jest filologiem, że w zawodach tych należy zatrudniać w miarę możliwości osoby „odpowiednio” wykształcone, że wykształcenie filologiczne nie odpowiada współczesnym wymogom stawianym przed tymi zawodami itd. Paradoks polega na tym, że wiemy o tym lepiej niż owi eksperci, tylko nie mamy żadnej możliwości praktycznego zastosowania naszej wiedzy, albowiem o słuszności wynikających z niej konsekwencji wciąż jeszcze nie decydują u nas specjaliści, lecz różnego rodzaju „rady”.

Kształcenie tłumaczy można u nas „odfilologować” wyłącznie pod warunkiem, że uzyska się na to zgodę Rady Główniej. Oznacza to, że trzeba w tym celu najpierw zainwestować sporo energii bez jakiegokolwiek pewności, że w końcu zwyciężą racje merytoryczne. Niestety, w tym zakresie nadal tryumfuje u nas pewnego rodzaju centralizm demokratyczny, oparty na całkiem kontraproduktywnej i w gruncie rzeczy nieetycznej zasadzie, w myśl której zaufanie jest dobre, ale kontrola lepsza. W każdym razie u nas nadal kontroluje się nawet edukacyjne poczynania profesorów zwyczajnych, czyli skądinąd całkiem samodzielnych nauczycieli akademickich, przy czym występujących w roli kontrolerów często mają niższe kwalifikacje merytoryczne niż kontrolowani. Ale najgorsze jest to, że kontrolujący przeważnie nie zdają sobie sprawy z tego, jaką rolę w istocie odgrywają.

Na wszelki wypadek wyjaśniam, po pierwsze, że w żadnym razie nie opowiadam się za zniesieniem wszelkiego nadzoru. Chodzi o to przede wszystkim, by nie przeceniać jego znaczenia, by go nie absolutyzować, by wymienioną zasadę odrzucić i zacząć się kierować sentencją odwrotną, na przykład następującą: „kontrola jest niestety nieodzowna, ale kierować trzeba się przede wszystkim (wzajemnym) zaufaniem”. Rozbudowując kontrolę nadmiernie, niszczymy zaufanie, a w każdym razie ograniczamy zarówno szansę jego rozwoju, jak też szansę na spotęgowanie woli zachowania go u tych, którzy zostali nim obdarowani. Z natury rzeczy szczególnie demoralizująco i zarazem kontraproduktywnie owocuje kontrola w dziedzinach zajmujących się pracą twórczą.

Po drugie, nie twierdzę, że nie potrzebujemy żadnej instytucji w rodzaju Rady Główniej. Uważam jedynie, że żadna centralna instytucja, nie ukonstytuowana według kryteriów specjalistycznych, nie powinna decydować o żadnych sprawach specjalistycznych, czyli między innymi o tym, jakie kierunki studiów wolno, a jakich nie wolno kontynuować. To jest sprawa specjalistów z odpowiednich dziedzin oraz tych, którzy chcą skorzystać z ich usług. Natomiast nie ulega żadnej wątpliwości, że trzeba centralnie ustalać ogólne kryteria (normy), jakie muszą być spełnione, aby zostać uznanym za specjalistę i otrzymać odpowiednią licencję lub móc uruchomić jakiś kierunek studiów itd. Słowem: im ogólniejsza jest specjalistyczna kompetencja jakiejś rady, tym bardziej ograniczone winno być jej prawo do decydowania w sprawach poszczególnych specjalizacji (dziedzin), wszelkie rady, zwłaszcza centralne, szybko przekształcają się bowiem w instytucje pragnące osądzać wszystko, także specjalistyczną innowacyjność.

6. Ogólnie rzecz biorąc można powiedzieć, że stan naszego współczesnego świata pracy translacyjnej nie jest zły, że pomimo wielu różnych przeciwności osiągnął on całkiem przyzwoity poziom. Są u nas niewątpliwie tłumacze, a tu i ówdzie nawet całe zespoły osób

trudniących się głównie translacją, o których można bez wahania powiedzieć, że nie dzieli ich żadna przepaść od ich odpowiedników w tzw. krajach zachodnich, że nie są gorsi nawet od swoich kolegów pracujących w krajach uchodzących za najwyżej rozwinięte.

Jednakże przeciętny poziom całego naszego świata tłumaczy jest niewątpliwie niższy od przeciętnego poziomu odpowiednich światów w krajach najwyżej rozwiniętych. Zwłaszcza w ciągu ostatnich kilku lat pojawiło się u nas bardzo wielu bardzo słabych tłumaczy i ukazało się na naszym rynku bardzo wiele wyjątkowo złych przekładów. Stało się tak przede wszystkim w efekcie pewnego rodzaju zaburzenia naturalnego rozwoju naszego świata translacji, spowodowanego przez gwałtowny i zupełnie nieoczekiwany wzrost popytu na usługi translacyjne, do którego doszło u nas w następstwie dokonanych w 1989 roku zmian polityczno-ustrojowych. Ale przynajmniej niektórzy z tych zaburzeń „zawdzięczamy” pewnym niefortunnym decyzjom ówczesnych decydentów, uznających ideę wolnego rynku za „jedynie słuszną”.

W wyniku wspomnianych zmian pojawiła się, jak wiadomo, wręcz ogromna i zarazem niezwykle pilna potrzeba przełożenia nie tylko wielu specjalistycznych tekstów „polityczno-ustrojowych”, lecz również potrzeba jak najszybszego przełożenia zakazanej u nas do tego czasu „zachodniojęzycznej” literatury pięknej lub niedostępnej literatury kulinarnej, turystycznej czy erotycznej. Poważnie wzrosło też zapotrzebowanie na przekłady różnego rodzaju „zachodniojęzycznych” tekstów specjalistycznych z różnych zakresów nauki i gospodarki, w tym również w dziedzinie reklamy. Wskutek zgoła lawinowego rozwoju bezpośrednich kontaktów niezwykle wzrósł także popyt na wszystkie rodzaje tłumaczenia ustnego.

Konieczność natychmiastowego zaspokojenia tego niezmiernie gwałtownego wzrostu popytu na absolutnie wszystkie rodzaje usług translacyjnych musiała zaowocować obniżeniem ogólnego poziomu ich realizacji. Za przekładanie i tłumaczenie zaczął się bowiem - poniekąd z konieczności - zabierać każdy, komu nadarzyła się ku temu jakaś okazja. Zarazem ówczesni decydenci stworzyli taką (ich zdaniem ze wszech miar pożądaną) sytuację prawną, że każdy mógł podejmować działalność, na jaką miał ochotę. Doszło do tego, że każdy kto tego chciał i miał na to odpowiednie środki, mógł podjąć działalność nie tylko w dziedzinie usług translacyjnych czy dydaktycznych, lecz także aptekarskich, a nawet medycznych. Kto tego chciał i miał na to odpowiednie środki, mógł otworzyć zarówno aptekę jak i szkołę podstawową, a nawet uniwersytet. Zarówno funkcjonowanie całego społeczeństwa, jak i wszystkich jego sektorów miało (u)regulować to coś, co nazywano wolnym rynkiem. Jasne, że w tej sytuacji takie rzeczy jak profesjonalne wykształcenie (dyplomy), doświadczenie zawodowe czy udokumentowane kwalifikacje (licencje) zaczęły odgrywać w najlepszym razie drugorzędną rolę. Odżywać zaczęła jakby powojenna wiara, że to „nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera”.

Szybko okazało się jednak, że są dziedziny czy światy cząstkowe, których funkcjonowania ów rynek w żadnym razie nie poprawił, lecz przeciwnie - rozregulował i w konsekwencji spowodował obniżenie ich ogólnego poziomu. W ten sposób wpłynął między innymi na świat usług translacyjnych, a poniekąd również na świat usług edukacyjnych i naukowych. I nie mogło się stać inaczej.

Ideolodzy „absolutnie wolnego rynku” zaczęli bowiem liberalizować (czyli spłaszcząć), a następnie znosić nawet takie systemy (hierarchie) wymogów i norm profesjonalnych, które w istocie są zarazem pewnymi owocami i miernikami rozwoju cywilizacyjnego. Zapewne nie rozumieli, że znosząc je, czy choćby tylko spłaszczając, w istocie powodowali coś w rodzaju „obniżenia olimpijskich norm kwalifikacyjnych”. Ich liberalizacja musi automatycznie zaowocować obniżeniem przeciętnego poziomu profesjonalnego zakwalifikowanych „zawodników”.

Nic więc dziwnego, że taki skutek wywołało obniżenie elitarnych wymagań, które powinni spełnić kandydaci na profesorów. Doprowadziło to wprawdzie w szybkim tempie do zakładanego zwiększenia ogólnej liczby osób nazywanych profesorami, ale nie zaowocowało założonym przecież obniżeniem przeciętnego wieku tej kategorii naszych nauczycieli akademickich. Spowodowało natomiast, że zdecydowanie obniżył się ich „przeciętny” dorobek naukowy i że w konsekwencji spadła także ich ranga profesjonalna. Ponieważ nie trudno było przewidzieć, że właśnie tak stać się musi, powstaje pytanie, jakie rzeczywiście cele przyświecały autorom tej „reformy”, kiedy przekonywali społeczeństwo, iż forsują ją po to, by zdynamizować nasz świat akademicki.

Podsumujmy: zarówno specjalistyczny podział świata pracy, jak też miary, stopnie czy poziomy specjalistyczne oraz normy wyznaczające wartości progowe poszczególnych stopni, a także różnego rodzaju „przepustki kwalifikacyjne” (dyplomy, licencje itp.), są poważnymi osiągnięciami cywilizacyjnymi. Są to swoiste instrumenty porządkujące świat ludzkiej pracy, instrumenty powstałe w wyniku czasem wielowiekowych doświadczeń. I dlatego nie wolno ich lekceważyć, a tym bardziej lekkomyślnie niszczyć. Natomiast można je doskonalić. Ale doskonalić można je tylko poprzez zwiększanie ich dokładności (subtelności) i podwyższanie ich wartości progowych, zwłaszcza rekordowych - nigdy odwrotnie, tzn. poprzez obniżanie ustalonych rygorów czy norm profesjonalnych, poprzez zastępowanie specjalistów osobami zorientowanymi jedynie ogólnie, poprzez zastępowanie kształcenia specjalistycznego ogólnikowym. Im dany świat jest subtelniej podzielony, im dokładniej jest on zorganizowany i im wyższe obowiązują w nim poszczególne specjalistyczne wartości progowe, tym wyżej trzeba go ocenić z punktu widzenia rozwoju zarówno profesjonalnego, cywilizacyjnego, jak i kulturowego.

7. Potrzebę odpowiedniego przygotowania się do pracy translacyjnej zauważono już bardzo dawno. Pierwsze notatki na ten temat zostały sporządzone jeszcze w starożytności. Jednakże dawniej, jak już wspomniałem, zwykle z góry ograniczano zakres tej pracy do przekładania w zasadzie tylko niektórych rodzajów tekstów pisanych, a mianowicie do tekstów literackich (poetyckich) oraz *Biblii*. Na początku okresu nowożytnego doszło do tego filologiczne zainteresowanie tłumaczeniem tekstów starożytnych - zarówno klasycznych, jak i narodowych.

Z tego powodu pracę translacyjną przez wieki zaliczano do dziedziny sztuki lub nauki, tzn. do takich rodzajów ludzkiej aktywności, których - jak zakładano - nie można lub nie należy poddawać systematycznej dydaktyzacji, a już w żadnym razie - jakiegokolwiek scholaryzacji. Z tego samego powodu teoria translacji uchodziła aż po nasze czasy za pewną domenę krytyki literackiej, biblistyki i/lub filologii. Ale i dziś jeszcze można się spotkać z takim właśnie podejściem do tej sprawy.

Potrzebę objęcia refleksją naukową także przekładu innych gatunków tekstów a następnie także tłumaczenia ustnego zaczęto dostrzegać właściwie dopiero w najnowszych czasach. Dawniej tych rodzajów działalności translacyjnej albo w ogóle nie zauważano, albo uznawano je za niegodne poważnych rozważań, a tym bardziej - jakichś systematycznych przygotowań. W umiejętności tłumaczenia na tym poziomie przeważnie nie dostrzegano niczego nadzwyczajnego. Traktowano ją jako pewien automatyczny efekt znajomości dwu języków. I ta tradycja jest też jeszcze wciąż żywa.

Z drugiej strony trzeba zdać sobie sprawę, że jednak w szkołach w pewnej mierze ćwiczano translację od dawien dawna. W dodatku ćwiczano ją stosunkowo powszechnie. Ćwiczenia translacyjne stanowiły bowiem dawniej niemalże obligatoryjny element wszelkiej nauki języków obcych. Jak wiadomo, aż do końca XIX wieku posługiwano się w trakcie tej nauki niemal wyłącznie tzw. metodą gramatyczno-tłumaczeniową. Posługiwali się nią zarówno nauczyciele łaciny i greki, jak też (później) nauczyciele innych języków obcych.

Powszechnie stosowano ją także w ramach studiów neofilologicznych - u nas aż do początku lat 60-tych, natomiast w Europie Zachodniej o wiele dłużej. Dodać jednak trzeba, że dawniej przeważnie nie zdawano sobie przy tym sprawy, że za pomocą tej metody ćwiczono raczej pewne sprawności translacyjne (przekładowe) niż czysto językowe (komunikacyjne).

O systematycznym kształceniu tłumaczy zaczęto myśleć dopiero w czasach najnowszych, tzn. dopiero wtedy, gdy z jednej strony tłumacz zaczął się stawać coraz bardziej potrzebny w obrębie świata polityki, gospodarki czy techniki, i gdy z drugiej strony - wskutek coraz to dalej idących udogodnień technicznych - intensyfikować zaczęły się bezpośrednie kontakty międzyludzkie i jednocześnie coraz bardziej zaczęły tracić na znaczeniu dotychczasowe języki uniwersalne - przede wszystkim łacina i język francuski. Mówiąc krótko: problem kształcenia tłumaczy pojawił się tak naprawdę dopiero wtedy, kiedy zaczęli oni być potrzebni z punktu widzenia życia codziennego i to w wymiarze coraz bardziej powszechnym. Zarazem wyłoniły się też pytania następującego typu: kto powinien ich kształtować? gdzie należy ich kształcenie zlokalizować?

8. Do praktycznego rozwiązywania tych spraw przystąpiono u nas na początku lat 60-tych, a więc stosunkowo wcześnie. Trzeba bowiem pamiętać, że do 1956 roku wszelka aktywność dydaktyczna na tym polu była w naszym kraju niemal całkowicie zamożna. Podjęte na początku lat 60-tych starania zaowocowały powołaniem już w 1963 roku do życia, przy Uniwersytecie Warszawskim, pierwszej szkoły tłumaczy, choć pod zupełnie nieadekwatnym szyldem. Nadana jej nazwa „Wyższego Studium Języków Obcych” nijak nie przystawała do jej rzeczywistych celów. Ale nie to było powodem, że szkoła ta nie przetrwała nawet dziesięciu lat.

Stało się tak, moim zdaniem, z kilku przyczyn. Jedną z nich było to, że została ukonstytuowana bez akceptacji warszawskiego środowiska neofilologicznego (a ponieważ nawet wbrew jego woli) i że przez to nie zdołała pozyskać przychylności ówczesnych władz rektorskich Uniwersytetu Warszawskiego. Co się tyczy neofilologii, to trzeba jednak dodać, że w tamtym czasie nie było jeszcze zrozumienia dlatego rodzaju przedsięwzięć nie tylko w warszawskim, lecz w gruncie rzeczy w całym środowisku neofilologicznym, i to nie tylko polskim. Z jednej strony wciąż jeszcze dominował wspomniany już pogląd, że tłumaczy kształcić nie sposób, bo tłumaczenie jest pewnego rodzaju sztuką, z drugiej natomiast twierdzono, że o tyle, o ile jakieś przygotowanie tłumacz jest w ogóle możliwe, zadanie to od dawna spełniają neofilologie. Wówczas zaczęła się dopiero rodzić w tym środowisku świadomość, że wprawdzie absolwenci studiów neofilologicznych podejmują pracę jako nauczyciele języków obcych, ale w istocie nie są do tej pracy przygotowani na miarę nowoczesnych wymogów tego zawodu.

Kolejna przyczyna niepowodzenia WSJO wzięła się stąd, że szkoła ta została ukonstytuowana jako wyższa szkoła zawodowa, tzn. jako szkoła, która mogła funkcjonować i funkcjonowała bez profesorów, ale nie miała też prawa prowadzenia studiów magisterskich. Taki twór nie miał z natury rzeczy żadnej szansy dłuższego przetrwania w ramach jakiegokolwiek uniwersytetu, natomiast próby jego usamodzielnienia nie powiodły się. Doszły do tego kłopoty „zatrudnieniowe” z jakimi spotykali się absolwenci WSJO. Przede wszystkim okazało się, że obowiązujące przepisy nie pozwalają zatrudniać ich na etatach przewidzianych dla osób z wyższym wykształceniem. Poza tym los zmusił wielu z nich do życia w miejscowościach, w których nie było pracy dla tłumaczy, natomiast była możliwość zatrudnienia się w charakterze nauczycieli języków obcych. Ale do podjęcia tej pracy nie byli z kolei formalnie upoważnieni.

Wszelako głównym powodem upadku tej szkoły było po prostu to, że w ówczesnej Polsce nie istniał jeszcze wystarczająco chłonny rynek pracy dla tłumaczy profesjonalnych, że brak było w tamtych czasach zarówno dostatecznego zapotrzebowania na nich, jak i

przewidzianych dla nich etatów. Natomiast ani kierownictwo, ani pracownicy tej szkoły nie rozumieli, że powinni byli się starać także o to, by jak najszybciej powstał tego rodzaju rynek dla ich absolwentów, przynajmniej w sensie formalnym, tzn. w postaci odpowiedniej kategorii etatów.

Następną instytucją, która programowo podjęła się kształcenia tłumaczy w naszym kraju i robi to po dzień dzisiejszy, stał się Instytut Lingwistyki Stosowanej, powołany do życia w 1972 w ramach ówczesnego Wydziału Neofilologii Uniwersytetu Warszawskiego. Trzeba jednak mocno podkreślić, iż w żadnym razie nie powstał on w celu realizowania tylko tego celu dydaktycznego. Został zorganizowany po to, by inicjować i/lub rozwijać badania w zakresie lingwistyki stosowanej w ogóle - we wszystkich jej zakresach. Program tego Instytutu przedstawiłem *expressis verbis* w referacie *Dziedzina lingwistyki stosowanej*, otwierającym zorganizowane przeze mnie w 1973 roku I Sympozjum tegoż Instytutu (por. F. Grucza, cd., *Lingwistyka stosowana i glottodydaktyka*, Warszawa 1976, 7-22).

Proces formowania specjalistycznego kształcenia tłumaczy w Instytucie Lingwistyki Stosowanej rozpoczął się wprawdzie wkrótce po uruchomieniu jego działalności, niemniej został on zainicjowany całkiem przypadkowo. Na początku kształcenie to było realizowane jedynie w formie trzyletniej specjalizacji dla wybierających się absolwentów drugiego roku studiów neofilologicznych. Pięcioletnie studia dla tłumaczy uruchomione zostały dopiero w 1980 roku. Zarówno projekty tych studiów, jak i ich realizacja napotykały różne przeszkody, przede wszystkim ze strony niektórych ówczesnych neofilologów. Część tego środowiska po prostu przeniosła na ILS swą niechęć do WSJO. Kilka razy kontynuacja tych studiów była poważnie zagrożona. Ale jakoś do dziś przetrwały.

Natomiast nie udało się obronić prowadzenia ich w formie samodzielnego kierunku studiów. Ten został w 1991 roku zlikwidowany odgórnie - bez jakiegokolwiek dyskusji z zainteresowanymi i bez jakiegokolwiek uzasadnienia merytorycznego. Wskutek tej decyzji dziś można kształcić tłumaczy jedynie w ramach kierunku studiów nazwanego filologią, czyli tylko w formie pewnej filologicznej specjalizacji, co stawia instytucje kształcące tłumaczy przed następującym dylematem, czy należy owo zarządzenie potraktować poważnie i wobec faktu, że tłumacz-filolog jest kimś zasadniczo innym niż na przykład tłumacz dyskursów dotyczących tematyki gospodarczej, politycznej czy prawnej, przestać kształcić tych ostatnich, a realizowane programy studiów zmienić tak, by uzasadniały one nadawanie ich absolwentom dyplomów magistra filologii, albo nie potraktować poważnie ani określenia „filologia”, ani wyrażenia „specjalizacja filologiczna” i robić dalej swoje, czyli nadal kształcić prawdziwych tłumaczy, nie zwracając uwagi na to, że na końcu trzeba im będzie wydać dyplom zupełnie nie przystający do ich rzeczywistego wykształcenia. Rzecz jasna, że każde z tych rozwiązań jest złe, choć z różnych powodów.

Administracyjną „filologizację” kształcenia tłumaczy trzeba ocenić negatywnie także dlatego, że w jej wyniku kształcenie to znalazło się ponownie w sytuacji, którą ocenia się jako nie zadawalającą z punktu widzenia współczesnego podejścia do tłumaczy w krajach zachodnioeuropejskich. W żadnym z nich nie kształci się ich w ramach studiów filologicznych, w żadnym z nich tłumaczy nie nazywa się filologami. Wszędzie, gdzie się ich kształci, otrzymują specjalne dyplomy.

Warto też zauważyć, że przyznawanie absolwentom studiów translatorycznych dyplomów filologicznych po prostu anarchizuje nasz świat pracy praktycznej w następującym sensie: skoro wykształceni tłumacze legitymują się dyplomami filologicznymi, to każdy posiadający taki dyplom, czyli każdy filolog, może uchodzić za tłumacza, może zostać zatrudniony jako tłumacz itd. Ponieważ jednocześnie także każdy nauczyciel języka obcego legitymuje się takim samym dyplomem, więc każdy nauczyciel języka obcego ma prawo uważać się za tłumacza i odwrotnie: każdy tłumacz - za nauczyciela języków obcych. Inaczej mówiąc, owa „filologizacja” niejako wtórnie zamazuje bardzo ważne podziały

specjalistyczne, które dokonały się w wyniku cywilizacyjnego rozwoju świata pracy praktycznej, i administracyjnie cofa go do pewnego stanu wcześniejszego, czyli prymitywniejszego. Oczywiście można zarządzić powrót do jeszcze wcześniejszego stadium i zacząć znów uznawać za tłumacza każdego, kto zna w jakiejś mierze dwa języki i posiada jakąś wynikającą z tej znajomości naturalną kompetencję translacyjną. Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że tego rodzaju postanowienia nie mają nic wspólnego z jakimkolwiek postępem.

Rzecz bowiem nie kończy się na wyodrębnieniu ogólnej umiejętności wykonywania tej lub innej czynności. Od tego się dopiero zaczyna. Rozwój wyraża się subtelnością jej specjalizacyjnego podziału, precyzją norm (kryteriów) sprawnościowego stopniowania poszczególnych specjalizacji, wysokością poziomów wyznaczonych dla poszczególnych stopni sprawnościowych i wreszcie zaawansowaniem procesu profesjonalizacji wykonywania każdej z nich. Dotyczy to w istocie każdej ludzkiej umiejętności: zarówno umiejętności translacyjnej, jak i umiejętności biegania. Każdy, kto ma dwie zdrowe nogi, potrafi wprowadzić biec, ale o inny (specjalistyczny) rodzaj umiejętności biegania chodzi w przypadku sprintera, o inny w przypadku średniodystansowca itd. Dobrze wiadomo też, że każdego z nich trzeba inaczej trenować, w inny sposób szkolić. Poza tym z faktu, że ktoś potrafi biegać krótkie dystanse, nie wynika jeszcze, że jest profesjonalnym sprinterem.

W ostatnich latach stale rośnie liczba instytucji podejmujących w naszym kraju kształcenie tłumaczy. Należałoby się z tego powodu cieszyć, gdyby nie fakt, że jakość tego kształcenia przeważnie pozostawia wiele do życzenia. O naprawdę profesjonalnym kształceniu tłumaczy, reprezentującym zarazem odpowiedni poziom akademicki, można mówić w odniesieniu do jednej, może dwóch takich instytucji. Zaledwie namiastkowy charakter mają tzw. specjalizacje tłumaczeniowe, uruchamiane w ramach normalnych programów neofilologicznych. Kształcenie tłumaczy z prawdziwego zdarzenia wymaga zarówno odpowiednio przygotowanych do tego nauczycieli akademickich, jak też stosunkowo kosztownych urządzeń technicznych i odpowiednio wyposażonych pomieszczeń. Tymczasem zdecydowana większość naszych instytutów i katedr neofilologicznych ma poważne braki w zakresie podstawowego wyposażenia.

9. Każde konkretne podejście do kształcenia tłumacza odzwierciedla jakiś (często mało wyraźny) pogląd na ich temat, jakiś (niekoniecznie ostre) ich pojęcie. Z kolei poszczególne pojęcia odnoszące się do tłumaczy oddają, rzecz jasna, jakiś stan wiedzy o tłumaczach, jakąś ich wizję, jednakże pojęcia te nie muszą odwzorować aktualnego stanu świata tłumaczy, lecz mogą dotyczyć (i tak często bywa) jakiegoś już historycznego stanu tego świata. W każdym razie trzeba zdać sobie sprawę z tego, że w naszym przypadku zmienia się (rozwija) nie tylko wiedza o podmiocie, który określamy mianem tłumacza, lecz także on sam.

Z tego, co powiedzieliśmy we wstępnych częściach niniejszego artykułu, wyraźnie wynika, że „tłumacz” to kategoria dynamiczna, wyłaniająca się i zarazem rozwijająca z biegiem czasu. I dlatego nie można się dziwić, że poglądy w tej kwestii były kiedyś inne niż dziś. Jednakże wolno się dziwić, że wielu wypowiadających się na ten temat traktuje tłumacza tak, jakby wciąż jeszcze nie dostrzegli tej naturalnej zmienności opisywanego przez nich świata.

O niektórych zmianach, jakie dokonały się w ostatnich dziesięcioleciach w obrębie świata tłumaczy i translacji w ogóle, już przynajmniej wspominałem. Natomiast nie jeszcze nie powiedziałem o rozwoju świata refleksji nad nim. Tymczasem właśnie w jego obrębie dokonał się w ostatnich latach postęp zgoła radykalny. Nie ulega bowiem wątpliwości, że w ciągu dwóch ostatnich dziesięcioleci doszło do ostatecznego przekształcenia tradycyjnej autorefleksji translatorskiej w dziedzinę systematycznych obserwacji i rozważań naukowych.

W sformułowanym w 1977 roku projekcie tej dziedziny, przedstawionym Senatowi Uniwersytetu Warszawskiego, nazwałem ją translatoryką. Na podstawie tego projektu Senat powołał już w listopadzie tego samego roku w ramach Instytutu Lingwistyki Stosowanej Zakład Translatoryki. W ten sposób dziedzina ta uzyskała już wówczas pierwszą w naszym kraju instytucjonalną reprezentację akademicką; wcześniej doszło do tego zaledwie w kilku krajach. W formie nieco rozwiniętej opublikowałem wspomniany projekt tej dziedziny w 1981 roku w pracy pt. *Zagadnienia translatoryki* (w: F. Grucza, cd., *Glottodydaktyka a translatoryka*, Warszawa 1981).

Od chwili powołania wspomnianego Zakładu dziedzina ta zaczęła się u nas rozwijać bardzo intensywnie. Zarazem zaczęła się wyraźnie pogłębiać i też poszerzać świadomość co do relatywnej odrębności reprezentowanej przez ten Zakład dziedziny i co do jej względnej samodzielności w obrębie ogólnego świata nauk. Jednocześnie rozpoczął się też proces skupiania i intensyfikowania w jej obrębie czy pod jej szyldem badań nad tłumaczami i tłumaczeniem. W zarysie przebieg tego rozwoju do roku 1992 przedstawiła B. Z. Kielar w artykule pt. *Kształtowanie się translatoryki w latach 1972-1992* (w: B. Z. Kielar, L. Bartoszewicz, J. Lewandowski, ed., *Polska szkoła lingwistyki stosowanej*, Warszawa 1994).

Nie oznacza to jednak, że wraz z powołaniem do życia Zakładu Translatoryki zaniechano dalszego uprawiania refleksji translatorycznej w ramach takich dziedzin jak filologia, lingwistyka czy literaturoznawstwo. Przeciwnie – również w obrębie tych dziedzin refleksja translatoryczna nabrała w tym momencie wigoru. Poza tym zarówno u nas, jak i gdzieindziej refleksję translatoryczną uprawia się też pod różnymi innymi nazwami (pol.: teoria tłumaczenia, teoria przekładu, przekładoznawstwo, traduktologia; ang.: theory of translation, translation theory, translation science, translation studies, translatology; niem.: Übersetzungswissenschaft, Translationslinguistik, Translationswissenschaft, Translationstheorie, Translatorik; franc.: traductologie, translatistique, théorie de la traduction itd.).

Nazw tych nie należy jednak traktować jako synonimy, albowiem dziedziny, do których się one odnoszą, w żadnym razie nie są identyczne. Niektóre z nich reprezentują głównie pewne historyczne stany refleksji translatorycznej; inne uwzględniają tylko niektóre fazy (poziomy) tej refleksji (np. tylko teorię); większość z nich z góry ogranicza swoje zainteresowania tylko do pewnych (ale niekoniecznie tych samych) fragmentów całego świata translacji. Słowem: za nazwami tymi kryją się inne (metodologicznie różne ukonstytuowane i w dodatku często niewyraźnie określone) dziedziny. Niestety, większość naszych autorów nie zdaje sobie z tego sprawy.

Stwierdzenie, że dopiero w momencie powołania do życia wspomnianego Zakładu Translatoryki doszło do formalnego ukonstytuowania translatoryki jako pewnej samodzielnej nauki, w żadnym razie nie oznacza, iż wszystko, co napisano i opublikowano na temat tłumaczenia wcześniej, należy uznać za „dzieła przednaukowe”. Nie ulega wątpliwości, że są wśród nich również takie, które spełniały ówczesne kryteria naukowe przynajmniej w stopniu zadowalającym. Do takich prac należy na przykład opublikowany w 1957 roku przez Olgierda Wojtasiewicza *Wstęp do teorii tłumaczenia*.

Omawianego stwierdzenia nie należy też rozumieć w taki sposób, jakby oznaczało ono, iż wszystko co od chwili instytucjonalnego ukonstytuowania translatoryki ukazało się pod tytułami w jakiś sposób nawiązującymi do jej nazwy, należało uznać za „dzieła naukowe”. Zarówno pod jej nazwą, jak i pod nazwami typu „teoria tłumaczenia” nadal ukazują się sporo prac, w tym również książek, mających w gruncie rzeczy niewiele wspólnego z nauką. Dzieje się tak dlatego, że podobnie jak wiele innych dziedzin zajmujących się ludzkimi czynnościami (np. glottodydaktyka), tak też translatoryka wyrosła, jak już wspomniałem, z pewnego rodzaju autorefleksji samych translatorów, z ich zmagania się z napotkanymi problemami, z chęci przekazania innym zgromadzonego doświadczenia i

ostrzeżenia ich przed różnego rodzaju fałszywymi przyjaciółmi czy niebezpiecznymi sytuacjami po to, by mogli uniknąć przynajmniej najbardziej typowych wpadek. W każdym razie owa autorefleksja podążała na początku głównie za celami metodycznymi czy poradniczymi (preskryptywnymi), a nie opisowymi (deskryptywnymi). Chętnie posługiwano się przy tym anegdotą. Oznacza to, iż w momencie pojawienia się translatoryki istniała już pewnego rodzaju dziedzina tradycja w zakresie sposobów wypowiadania się na temat tłumaczenia. I jest ona podtrzymywana nadal. Bez trudu mógłbym wymienić opublikowane w ostatnich latach książki, które mają wprawdzie ambicje naukowe, ale w przeważającej mierze napisane zostały w dawnym stylu.

Wreszcie warto zwrócić uwagę również na to, że poprzez nadanie translatoryce instytucjonalnej formy w postaci wspomnianego Zakładu, wykreowany został wyraźny punkt naukowego odniesienia dla już realizowanego, a w jeszcze większej mierze dla dopiero planowanego kształcenia tłumaczy, przede wszystkim w Instytucie Lingwistyki Stosowanej. Z tego punktu widzenia moment ten trzeba uznać za rzeczywiście przełomowy. Historycznie sprawa kształcenia tłumaczy przedstawia się bowiem całkiem podobnie jak sprawa kształcenia nauczycieli języków obcych: z konieczności bazowało ono początkowo niemal wyłącznie na doświadczeniu i/lub instytucji „praktyków” (nauczycieli lub tłumaczy), albowiem nie było wówczas jeszcze żadnej nauki interesującej się nauczycielem języków obcych, ani takiej, która zajmowałaby się tłumaczem jako głównym przedmiotem. Naukowe fundowanie obu tych rodzajów kształcenia zaczęło być możliwe dopiero od momentu rzeczywistego ukonstytuowania odpowiednich dziedzin.

Trzeba przy tym mocno podkreślić procesualny charakter owego fundowania. Jego trafność zależy bowiem w zasadniczy sposób od objętości i trafności (zasadności) wiedzy wypracowanej przez odnośne dziedziny, czyli w naszym wypadku od tego, jak dokładnie i jak adekwatne są wypracowane modele tego, co nazywa się „tłumaczem”. Generalnie można powiedzieć, że proces naukowego fundowania (programów) kształcenia tłumaczy znajduje się wprawdzie na razie (zresztą nie tylko u nas) dopiero w fazie początkowej, że na razie nikt nie ma jeszcze naukowego patentu na kształcenie tłumaczy, niemniej wiemy już sporo na ten temat. Natomiast wspomniana Rada Główna, włączając kształcenie tłumaczy w ramy filologiczne, zignorowała tę wiedzę całkowicie. I to jest fakt tym bardziej gorszący, że chodzi tu o kwestię edukacyjną *par excellence*.

10. Naukowe zajęcie się problemem translacji, w ścisłym rozumieniu tego słowa, stało się możliwe dopiero wtedy, gdy działanie to i jego wytwory (tzn. translaty) przestano zaliczać do zakresu sztuki, czyli do świata rzeczy wyjątkowych lub zgoła jednoznacznych, gdy zaczęto dostrzegać, że również w świecie translacji funkcjonują pewne reguły (prawa), że mamy w nim do czynienia także z operacjami powtarzającymi się, tzn. realizowanymi według pewnych zasad czy wzorców.

Dostrzegać zaczęli owe translatoryczne regularności najpierw sami translatorzy, i to już dość dawno. Jednakże ich naukowym ustaleniem zajęto się dopiero pod wpływem nowoczesnej lingwistyki. Nic więc dziwnego, że początkowo realizowano tego rodzaju przedsięwzięcia głównie w jej obrębie i że translatoryka zaczęła się wyodrębniać i konstituować najpierw jako pewna poddziedzina lingwistyki. Nie jest zatem przypadkowe, że w tym okresie naukowe poszukiwania translatoryczne dotyczyły niemal wyłącznie istnienia lub braku różnego rodzaju międzyjęzykowych korespondencji (ekwiwalencji) wyrażeniowych i/lub znaczeniowych. Przynajmniej częściowo okres tych poszukiwań zbiegł się z okresem bardzo intensywnego zainteresowania tzw. studiami kontrastywnymi (konfrontatywnymi). Drugi okres rozwoju translatoryki to okres naukowego usamodzielniania się. Na dobre okres ten zaczął się dopiero w latach 80-tych. Niewątpliwie najistotniejsze dokonanie tego okresu wiąże się z przeniesieniem głównego punktu ciężkości poznawczych zainteresowań

translatoryki z wyrażen językowych na translatora, na wykonywane przezeń translacje i w końcu na jego specyficzne kognitywno-sprawnościowe wyposażenie (kompetencję). Odtąd chodzi już nie tylko o to, by ustalić możliwie najdokładniej te czy inne interlingwalne korespondencje, lecz o to ostatecznie, by zrekonstruować tzw. kompetencję translatora i w rezultacie odpowiedzieć na pytanie, z czego się ona składa, na czym polega, jak funkcjonuje itd. Wraz z postawieniem tych kwestii, translatoryka wykonała najważniejszy krok na drodze ku naukowej samodzielności. Jako dziedzina poszukująca na nie odpowiedzi, translatoryka zyskała poważne znaczenie teoretyczne, a w każdym razie wyszła z obrębu dziedzin mających w najlepszym razie jakieś znaczenie praktyczne (np. metodyczne).

Osobiście umieściłem translatora, jego „wewnętrzne wyposażenie”, w centrum naukowych zainteresowań translatoryki już we wspomnianym projekcie tej dziedziny z 1977 roku. Jednakże w przeciwieństwie do innych koncepcji, nie ograniczyłem przedmiotu jej zainteresowań naukowych do samego tylko tłumacza. Za zbyt wąskie uznałem nawet koncepcje uwzględniające poza tłumaczem także otaczającego go intertekstowe ramy. Od początku uważałem, że translatoryka musi objąć swym zainteresowaniem naukowym cały układ komunikacyjny (interakcyjny), w którym funkcjonuje podmiot interesujących ją działań czy operacji.

Układ ten nazwałem układem translatorycznym. Jeden z jego biegunów wyznacza mówca lub pisarz inicjalny, a drugi – słuchacz lub czytelnik finalny. Ponieważ wszystkie stanowiące ten układ podmioty występują (funkcjonują) zawsze w jakiejś sytuacji i w jakimś stanie, uznałem, że translatoryka musi brać pod uwagę w miarę możliwości także te współczynniki kompletnego układu translatorycznego. Od początku włączałem w obręb jej zainteresowań również problematykę kształcenia tłumaczy. Tym niemniej nie była to jeszcze całkiem holistyczna koncepcja translatoryki, albowiem ograniczała jej zainteresowania do translacji samych tylko wyrażen (tekstów) językowych *sensu stricto* i w dodatku tylko do translacji interlingwalnej.

Dziś stoję na stanowisku, że przedmiot badań translatoryki należy poszerzyć tak, by objął on, po pierwsze, nie tylko inter-, lecz także intralingwalną (w tym również metajęzykową) translację, po drugie, nie tylko nacjelektalną (w szczególności ograniczoną wyłącznie do płaszczyzny literackiej), lecz także dia- oraz socjolektalną translację, i wreszcie po trzecie, nie tylko translację wyrażen językowych (lingwalnych) *sensu stricto*, lecz także translację wyrażen nonlingwalnych, czyli słowem: translację wszystkich możliwych rodzajów ludzkich wyrażen, ale przede wszystkim tzw. para- i ekstrajęzykowych wyrażen (zaliczanych dotychczas przeważnie do zakresu kultury, a nie do zakresu mediów komunikacyjnych). Co się tyczy tych ostatnich, to trzeba je włączyć do zakresu zainteresowań translatoryki choćby z tego względu, że mowne wyrażenia językowe w wąskim rozumieniu nigdy nie występują w rzeczywistych aktach komunikacyjnych w postaci czystej, lecz zawsze w jakimś para- i ekstrajęzykowym otoczeniu i że w pewnej mierze dotyczy to także pisemnych wyrażen językowych. Poza tym przekładają czy tłumaczą jedno wyrażenie lingwalne na inne, lecz także wyrażenia lingwalne na nonlingwalne i odwrotnie.

11. W ramach tego artykułu nie mogę, rzecz jasna, opisać w sposób wyczerpujący, jak przedstawia mi się obraz translatoryki dziś, jak go widzę. Mogę tu jeszcze tylko zebrać najważniejsze wnioski, jakie da się na jej temat wyprowadzić z tego, co już powiedzieliśmy i uzupełnić je kilkoma dalszymi stwierdzeniami, jednakże bez wdawania się w przemawiającą za nimi argumentację. Na to nie ma tu już miejsca.

Zacznijmy od uwagi, że poszczególny podmiot translatoryki (ani indywidualny, ani kolektywny) nie musi w każdym przypadku obejmować swą uwagę całego przedmiotu translatoryki, lecz może się koncentrować na jego tych lub innych składnikach lub aspektach. Poza tym nie musi brać za każdym razem pod uwagę wszystkich translatorów, lecz może się skoncentrować tylko na niektórych z nich, na tej lub innej ich kategorii. Rzecz tylko w tym,

by zdawał sobie sprawę z istnienia innych, a także z tego, że każdy jest tylko pewnym elementem większej całości.

W zależności od tego, na czym koncentruje swą uwagę badawczą (konkretny) podmiot translatoryki, można ją podzielić między innymi na ogólną i szczegółową, na zajmującą się jedynie interlingwalną translacją bądź także translacją interkulturową, tzn. uwzględniającą nie tylko wyrażenia czysto-językowe, lecz również inne rodzaje ludzkich wyrażen, na zajmującą się translacją polsko-niemiecką, niemiecko-francuską itd., na zainteresowaną głównie lub wyłącznie przekładem pewnego rodzaju tekstów, np. tylko literackich lub tylko tekstów prawnych itd., na zajmującą się głównie translacją ustną – symultaniczną, konferencyjną itd.

Translatorykę ogólną interesują przede wszystkim „uniwersalne” właściwości tłumaczy, tzn. właściwości, które dowolnej osobie Pi pozwolą wystąpić w roli tłumacza czy spełnić funkcję tłumacza, które umożliwiają jej wykonanie odpowiednich operacji i/lub działań. Jej pierwszym zadaniem jest ustalenie, jakie specyficzne właściwości mentalne wyróżniają tłumacza w ogóle, tzn. opisanie i wyjaśnienie, na czym polega lub z czego składa się jego specyficzne wyposażenie mózgowe, a także skąd się biorą składające na to wyposażenie właściwości, w jaki sposób tłumacze „wchodzą w ich posiadanie”? Ale odpowiedź na pytanie, co się znajduje i co dzieje się „w głowie” (każdego) tłumacza, w jego translacyjnym centrum, translatoryka winna formułować w kontekście zgromadzonej wiedzy o tym, co dzieje się w obrębie całego układu translacyjnego, a więc także „w głowie” zarówno jego inicjalnego jak i finalnego ogniwa.

Następnie jej zadaniem jest ustalenie (w tym samym sensie, co wyżej) właściwości konstytuujących (definiujących) poszczególne specjalistyczne rodzaje tłumaczy (lingwalnych, lingwalno-nolingwalnych, ustnych, pisemnych, konsekwentnych, konferencyjnych, literackich, ekonomicznych itd.). Wreszcie translatoryka ogólna powinna ustalić też kryteria (normy), które umożliwiłyby w miarę obiektywne dzielenie poszczególnych specjalizacji na odpowiednie stopnie czy poziomy sprawnościowe, czyli inaczej mówiąc – które pozwoliłyby odróżnić „tłumacza naturalnego” od „wykształconego”, „średnio wykształconego” od „wykształconego na poziomie akademickim” itd. Ustalenie tego rodzaju norm jest bardzo ważne zarówno z punktu widzenia kształcenia tłumaczy, jak i z perspektywy rynku pracy translacyjnej.

Niemal wszystkie sformułowane dotychczas teorie tłumacza są nieadekwatne przede wszystkim dlatego, że zakładają istnienie jakiejś jednej specyficznej kompetencji translatorskiej czy translacyjnej, podczas gdy dziś faktycznie istnieją różne kategorie kompetencji translatorskich, których specyfika może zależeć, jak już wspomniałem, od rodzaju i zakresu przedmiotu translacji, od rodzaju stosowanych „pomocy technicznych”, a także od tego, jaki cel chce się przede wszystkim osiągnąć za pomocą translacji – informacyjny, emocjonalny czy estetyczny.

Różne kategorie kompetencji trzeba też odróżnić w zależności od tego, czy składają się na nie tylko określone umiejętności praktyczne, czy także (a) jakaś wiedza o nich, o ich genezie, o ich funkcjonowaniu itd., (b) jakaś wiedza o przedmiocie translacji (o tłumaczonych lub przekładanych wyrażeniach, o języku, w którym zostały one sformatowane, itd.), (c) dostateczna wiedza o całym układzie translacyjnym, zwłaszcza o jego ogniwie początkowym i końcowym, o funkcjonowaniu tego układu itd.

Współczesnej translatoryki nie należy utożsamiać z jakąkolwiek teorią tłumaczenia czy przekładu, ani nawet z żadną teorią tłumaczenia i przekładu, ponieważ nie jest ona w żadnym razie dziedziną wyłącznie spekulatywną. Przeciwnie, translatoryka jest nauką *par excellence* empiryczną, albowiem zajmuje się przedmiotem, którego podstawowe ogniwa rzeczywiście istnieją. Jej pierwszym zadaniem jest opisanie tego przedmiotu; teoretycznym wyjaśnieniem zasad jego funkcjonowania jako pewnej całości, jak też działania jego poszczególnych składników, przede wszystkim jego ogniwa centralnego, translatoryka może

(i powinna) się zająć dopiero na następnym etapie. Jej globalne zadanie naukowe nie kończy się jednak na sformułowaniu odpowiedniej teorii tłumacza i/lub układu translacyjnego. Jak każda dziedzina empiryczna, tak też translatoryka musi ponadto ukonstytuować pewną płaszczyznę (fazę) systematycznych rozważań aplikacyjnych i naukowego testowania swych propozycji praktycznych. W sumie oznacza to, że translatoryka nie jest ani jakąś dziedziną wyłącznie teoretyczną, ani wyłącznie stosowaną (praktyczną). Podobnie jak każda inna względnie autonomiczna dziedzina, tak też translatoryka jest najpierw i przede wszystkim zainteresowana poznaniem swego przedmiotu, tzn. poznaniem jego składu, jego wyposażenia zasad jego funkcjonowania itd.

Kończąc te rozważania chcę jeszcze tylko zasygnalizować, że chociaż do zadań translatoryki w zarysowanym tu rozumieniu należy również ewaluacja – tak formalna, jak i funkcjonalna – nie tylko wszelkiego rodzaju tłumaczeń, czyli wytworów translacji, lecz także jakości i efektywności pracy tłumacza, to jednak bezpodstawne jest utożsamianie w całości tzw. krytyki translacyjnej z pracą naukową *sensu stricto*. Oceny sporządzane w ramach ewaluacji translatorycznej oraz krytyki translacyjnej różnią się, ogólnie rzecz ujmując, stopniem ścisłości i obiektywności. Oczywiście można krytykę translacyjną „unaukować” całkowicie, ale niczego w ten sposób nie zyskamy, natomiast niewątpliwie uśmiercimy jej relatywną samodzielność i w efekcie możemy wiele stracić. Dlatego, moim zdaniem, nie należy tego czynić. Zresztą szkodliwa jest ona w istocie o tyle, o ile się jej wyraźnie nie odróżnia od ewaluacji naukowej. Natomiast wartość krytyki translacyjnej zależy wprawdzie przede wszystkim od tego, czy w ogóle, a jeśli tak, to w jakiej mierze respektuje kryteria wypracowane i uznawane w obrębie ewaluacji translatorycznej. Jednakże jej przydatność wywodzi się często akurat z przeciwnego źródła – z jej prawa do zadowalania się prawdą intuicyjną.